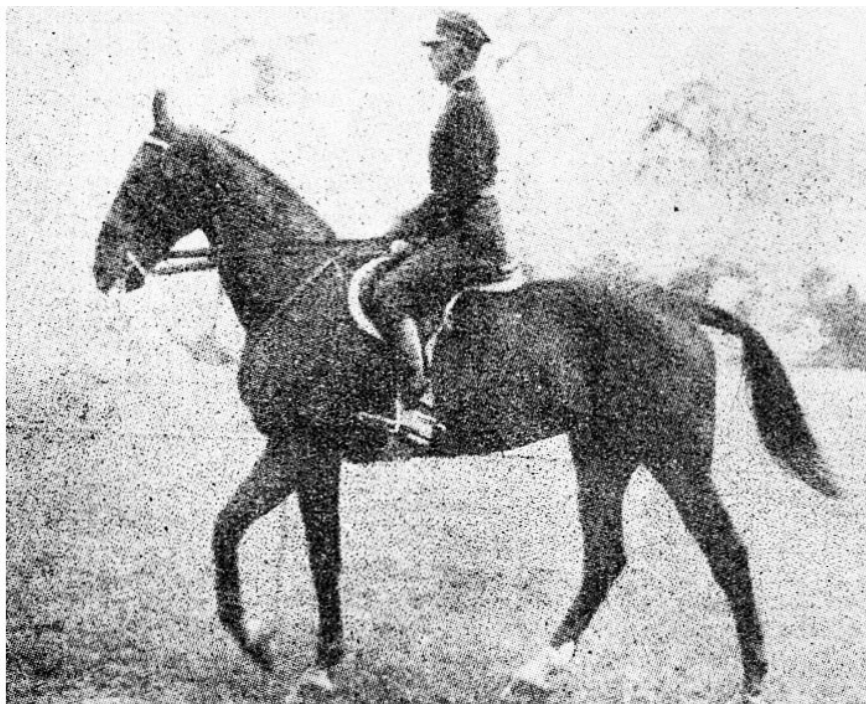


Arlekin i Olimpiada w Berlinie

Henryk Leliwa Roycewicz



Rtm. Henryk. Leliwa — Roycewicz



Rtm. Roycewicz na Arlekinie III

Z uprawianych przeze mnie sportów takich jak tenis, narciarstwo i jeździectwo — najbardziej mi odpowiadała jazda konna. W jeździe konnej osiągnąłem najlepsze rezultaty i dotarłem do szczytu formy i umiejętności w tej dyscyplinie.

Wejść w skład ekipy olimpijskiej i reprezentować Polskę na Olimpiadzie — to stanowi najwyższy zaszczyt dla zawodnika i jest ukoronowaniem jego pracy sportowej. Duży to honor i duży zaszczyt, ale równocześnie i bardzo duża odpowiedzialność. Toteż ciesząc się niezmiernie z perspektywy udziału w Olimpiadzie wiedziałem, że muszę teraz zebrać wszystkie siły, aby znajomość i fachowość w tej dziedzinie przyczyniły się do osiągnięcia najlepszych wyników w czasie zawodów.

W Berlinie startowałem w najbardziej ulubionej przeze mnie dyscyplinie sportu konnego, a mianowicie we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego nazywanego wówczas „militari”: w tej konkurencji mogli, startować tylko oficerowie w mundurach wszystkich armii świata.

Pociągał mnie ten rodzaj zawodów konnych, gdyż można było tutaj połączyć swoje zdolności w ujeżdżaniu konia, naskakaniu go i wytrenowaniu do biegów w terenie, a w czasie zawodów umiejętnie wykorzystać zalety swoje i konia do osiągnięcia najlepszych wyników. A sprostać wymogom tej konkurencji nie było i nie jest łatwo.

Muszę się teraz zatrzymać na małą chwilę, żeby przedstawić mego niezapomnianego „Arlekina”, na którym właśnie brałem udział w zawodach olimpijskich w Berlinie.

„Arlekin” był koniem wysokiej klasy. Po ojcu „Bafur” — pełnej krwi angielskiej i po matce „Backfish” — kłusaczce amerykańskiej. Był to najlepszy koń spośród tych, jakie dosiadałem w konkursach WKKW.

Do posiadania takiego konia, jak „Arlekin” doszedłem nie tak łatwą drogą. Biorąc udział w ciągu 10 lat w zawodach konnych początkowo w kraju, a potem za granicą zdobyłem wreszcie w roku 1934 „mistrzostwo” we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego. W ten sposób — jak głosiły przepisy — uzyskałem prawo wyboru konia w Polsce, którego zakupywało ówczesne Ministerstwo Spraw Wojskowych a następnie przydzielało do przygotowania. Znalazłem go w stadninie koni w Łańcucie. Obserwowałem go przez dłuższy czas na polowaniach (par force) konno za psami na lisa w tymże Łańcucie. W czasie tych polowań „Arlekin” (mający wówczas pięć lat) jeżdżony był przez chłopca stajennego. O ile przeszkoda nawet wysoka i szeroka, była tak ustawiona, że „Arlekin” nie mógł jej ominąć — skakał bez wahania, pokonując ją z łatwością. Ale jeżeli wyczuł, że przeszkoda jest do ominięcia, robił wtedy co chciał ze swoim jeźdźcem i wynosił w bok, omijając przeszkodę. Zdawałem sobie sprawę, że czeka mnie ciężka praca, żeby odzwyczaić go od tych złośliwości; ale również wyczuwałem, że będzie to wspaniały koń na Olimpiadę.

Z drugiej strony te wybryki „Arlekina” dawały mi nadzieję, że łatwiej go będzie można kupić, ponieważ uważano go za złośliwego i trudnego konia, który w stajni Łańcuckiej nie mógł długo pozostać.

Uzgodniłem z właścicielem sprzedaż konia i złożyłem podanie do Ministra o zakupienie go dla mnie — na podstawie wyżej wspomnianych przepisów.

W kilka miesięcy potem „Arlekin” był już w stajni pułkowej; nie mogłem się na niego napatrzeć, nie odchodząc godzinami od jego boksu. Po podróży nie pozwoliłem „Arlekinowi” długo odpoczywać — szalenie byłem ciekaw, jak się będę czuł na nim w siodle.

Rozpoczynając pracę starałem się nauczyć go posłuszeństwa i poddania się woli jeźdźca. Wiele było z tym korowodów, wiele uciezek od przeszkody, stawiania dęba i prób pozbycia się jeźdźca, a także prób ponoszenia mnie na osłep. Jednak „Arlekinowi” teraz to się nie udawało, bo siedział na nim jeździec, który znał dobrze narowy trudnych koni i dawał sobie radę ze wszystkimi złośliwymi próbami konia.

Ten pyszny koń, uparty, śmiały i pełen fantazji miał wielki talent, ogromną siłę i wytrzymałość i dlatego z wielkim zapałem i cierpliwością pracowałem nad jego ujeżdżaniem. Powoli został ujarzmiony, uspokojony i odzwyczajony od robienia złośliwości, stał się bardzo posłusznym i wspaniałym wierzchowcem, nabierając do mnie takiego zaufania, że jego posłuszeństwo dla mnie wydawało się mi bezgraniczne.

Już na wiosnę w 1936 r. startuje „Arlekin” po raz pierwszy w zawodach konnych, organizowanych w Szkole Kawalerii w Grudziądzu. Zdobywa wówczas pierwsze miejsce, otrzymuje najmniejszą liczbę punktów karnych. A konkurencja była niełatwa. Do tych zawodów stanęły wszystkie najlepsze konie przygotowywane właśnie na Olimpiadę do Berlina pod najlepszymi jeźdźcami.

W czerwcu tego roku zdobywa „Arlekin” we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego, w głównej próbie przedolimpijskiej w Warszawie, drugie miejsce i staje się jednym z czołowych końskich kandydatów na Igrzyska.

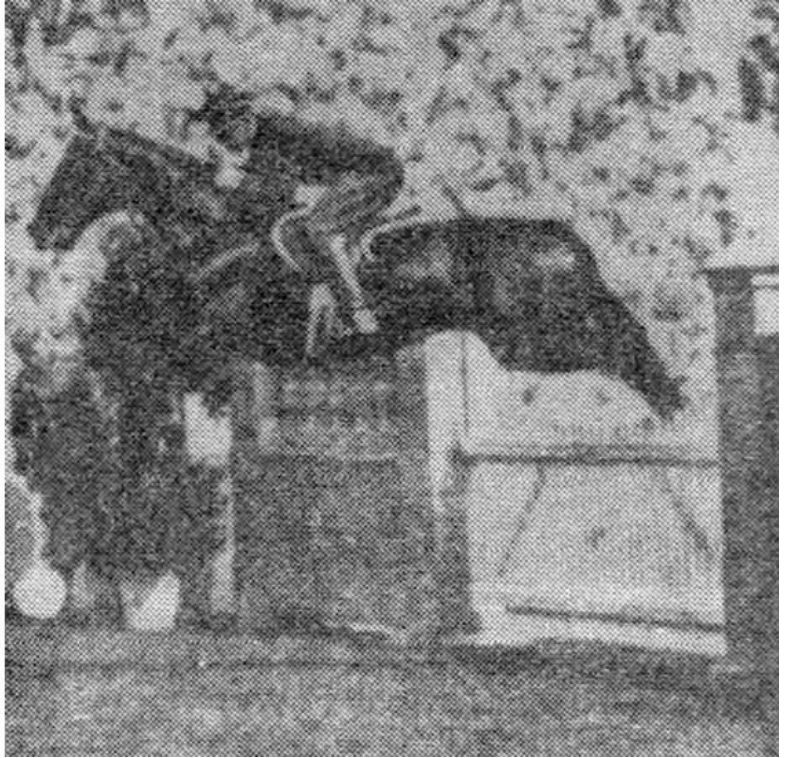
Obie te nagrody naturalnie zdobyliśmy razem z „Arlekinem”, a ja byłem dumny z mego konia, który swoimi zaletami dawał mi możliwość stania się olimpijczykiem.

Przez cały czas pracy nad nim, ani też w czasie zwycięskich zawodów „Arlekin” ani na chwilę nie zakulał, zawsze był zdrow i pełen werwy; dopisywał mu zawsze apetyt, był wesoły i świeży. Posiadał niezmordowane serce, stalowe nogi i był niestrudzony w galopie. Był to dowód, że ma niespożyty organizm; że można liczyć na jego wytrzymałość.

Z takim to wspaniałym koniem stanąłem w szranki na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 r.



Płk Henryk Leliwa-Roycewicz



Berlin 1936. Rotmistrz Seweryn Kulesza na Tośce.

Olimpijskie zawody konne „military” w Berlinie rozgrywane były w konkurencji indywidualnej i zespołowej, a każda ze startujących drużyn mogła wystawić trzech jeźdźców. Do Berlińskiej Olimpiady przygotowywaliśmy się bardzo starannie. Jeszcze w listopadzie w 1935 r. na obozie w Szkole Kawalerii w Grudziądzu została zebrana grupa najlepszych jeźdźców, ćwicząca aż do wyjazdu do Berlina i przechodząca wiele prób eliminacyjnych, startując na zawodach w kraju.

Z tych eliminacji została ostatecznie wyłoniona ekipa jeździecka do „military” w następującym składzie:

- Rotmistrz 10 pułku strzelców konnych — Seweryn Kulesza na wałachu Ben-Hur
- Rotmistrz 10 pułku strzelców konnych — Zdzisław Kawecki na wałachu Bambino
- Rotmistrz 25 pułku ułanów — Henryk Roycewicz na wałachu Arlekin III

W pierwszych dniach sierpnia 1936 r. wyjechaliśmy do Berlina, by być na otwarciu Olimpiady i złożyć przysięgę olimpijską. Zostaliśmy zakwaterowani w wiosce olimpijskiej w Doberitz pod Berlinem, a konie nasze zostały ulokowane w doskonałych stajniach na torze kłusaków w Ruhleben w Berlinie.

Arlekin był zdrowy, wypoczęty i pełen werwy, a zdrowie i humor mego konia udzielały się i mnie. Ponieważ do pierwszych występów na Olimpiadzie miałem dwa tygodnie, z wielkim zapałem pracowałem na Arlekinie, żeby jeszcze go „doszlifować” w ujeżdżeniu. Poza treningiem, który odbywał się w godzinach przedpołudniowych, miałem możliwość z łoży stadionu olimpijskiego przeznaczonej dla dyplomatów akredytowanych w Berlinie, przyglądać się wyczynom olimpijczyków całego świata w innych dyscyplinach sportu.

Była to łoża posła Państwa Duńskiego w Berlinie, do której byłem zaproszony za zgodą posła przez jego córkę. Poznałem tę panią na balu w Ambasadzie Polskiej w Berlinie niedługo po moim przyjeździe na zawody. Wspólne zainteresowanie jazdą konną przyczyniło się do tego, że p. Brita była codzienną obserwatorką moich treningów, a resztę dnia spędzaliśmy wspólnie na stadionie i na zwiedzaniu Berlina,

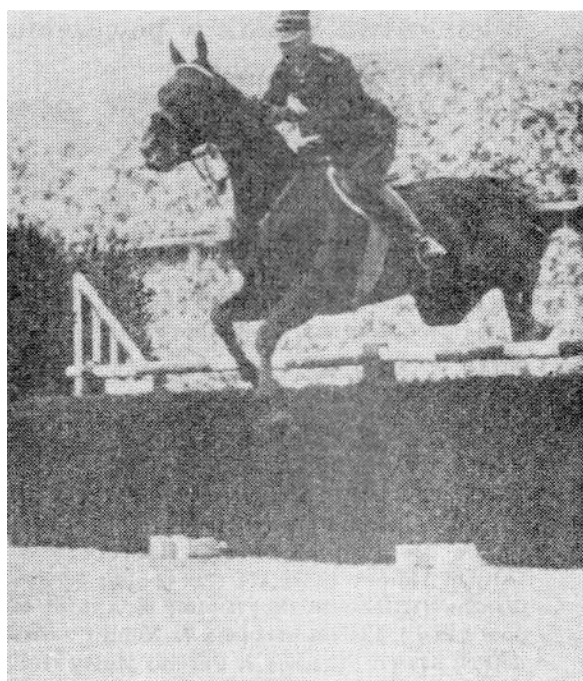
gdzie była uroczą przewodniczką.

W zawodach „military” na Olimpiadzie w Berlinie wzięło udział 50 jeźdźców i koni z 18 państw: z Anglii, Austrii, Bułgarii, Czechosłowacji, Danii, Finlandii, Francji, Japonii, Norwegii, Niemiec, Polski, Rumunii, Szwecji, Szwajcarii, Turcji, Węgier, Włoch i USA. Niektóre kraje wystawiły do zawodów tylko po jednym lub dwóch zawodników z powodu niedyspozycji kilku koni. W przeddzień rozpoczęcia „military” w ekipie polskiej został zamieniony jeden koń. Z powodu kulawizny wałacha Ben-Hura rotmistrz Kulesza musiał startować na klaczy Tośka, co do pewnego stopnia obniżało szanse tego zawodnika i całej naszej ekipy.

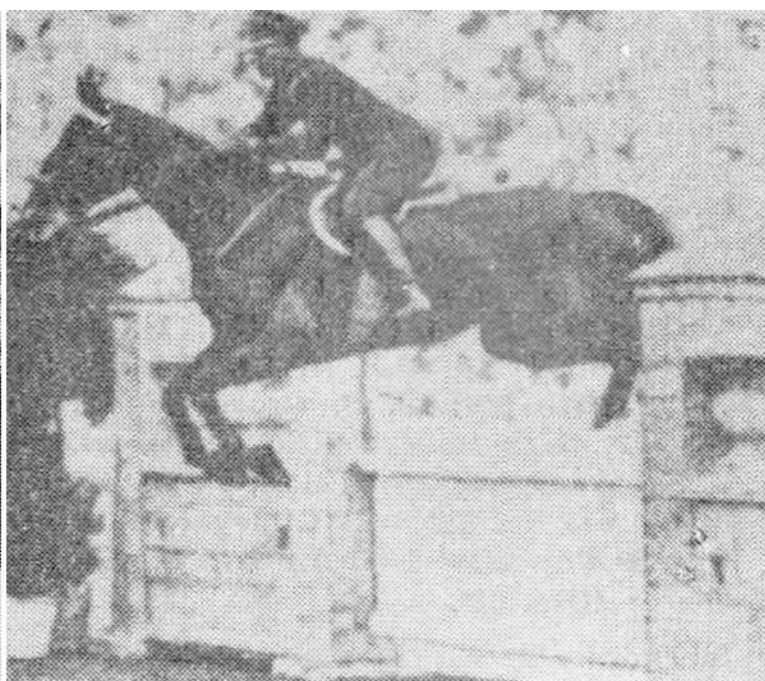
Zawody ukończyło tylko 27 jeźdźców, gdyż reszta została zdyskwalifikowana z powodu popełnionych błędów w terenie podczas „crossu” lub w ostatnim dniu zawodów w konkursie skoków.

Chcę się teraz zatrzymać na pewnych wydarzeniach, mających miejsce podczas mego startu w drugim dniu zawodów, które stały się dla mnie przykrym przeżyciem i których nie zapomnę chyba przez całe życie. Nie wiem dotychczas, czy te wydarzenia były wywołane fatalną pomyłką sędziego przy przeszkodzie, czy też zostały uprzednio zaplanowane, by zmniejszyć szanse polskiej ekipy.

Zdobyliśmy wtedy zespołowo srebrny medal olimpijski, ale gdyby tej fatalnej pomyłki nie było, miałem duże szanse zdobycia medalu indywidualnego.



Olimpiada w Berlinie 1936 r. Rtm. Roycewicz na Arlekinie III w Próbie Skoków.



Rotmistrz Henryk Roycewicz na Arlekinie III.

Stając do tych zawodów wiedzieliśmy, że ekipa niemiecka, która startowała na swoim terenie, jest dobrze przygotowana i że będziemy mieli w niej groźnego konkurenta. Toteż po pierwszym dniu „military”, kiedy po obliczeniu punktów pierwszej próby (ujeżdżenie konia) okazało się, że jesteśmy lepsi od Niemców, byliśmy mocno zadowoleni.

W następnym dniu odbyła się najważniejsza próba zawodów — bieg w terenie, która wymagała dużego wysiłku od koni i umiejętności jazdy od zawodników.

Przebiegi terenowe zostały udostępnione do obejrzenia w przeddzień zawodów, więc trasę steepla

i crossu przeszliśmy piechotą, żeby dokładnie zorientować się, jak i którądy najechać na ustawione przeszkody.

Przeszkody steeplowe nie robiły wielkiego wrażenia, gdyż nie różniły się od normalnie spotykanych na wszystkich zawodach tego rodzaju, ale przeszkody crossu miały swój indywidualny charakter terenowy. Były one mocno i solidnie rozbudowane a w wielu wypadkach (np. rowy, zjazdy i wyjazdy) były zupełnie naturalne. Przeszkody zrobione sztucznie tak dobrze usytuowano w terenie, że zdawały się być bez zarzutu. W sumie cross ze swoimi 35 przeszkodami robił wrażenie trudnego przebiegu terenowego, lecz bardzo — moim zdaniem — odpowiedniego dla olimpijskich zawodów.

Najbardziej frapowała przeszkoda Nr 4 „sadzawka z wodą”, obramowana od strony najazdu grubym drągiem wysokości 50 cm, przez który należało skoczyć do wody, przebyć wodą około 30 m i wyjechać na przeciwny brzeg. Woda w sadzawce była mętna i pokrytą rzęsą, tak że jej dna nie było widać i nie było wiadomo, jakie ono jest: twarde czy grząskie. Na brzegu sadzawki od strony najazdu rosło duże drzewo, które rozdzielało sadzawkę na dwie połowy. Można było skakać na prawą stronę lub, skręcając ze ścieżki prowadzącej do sadzawki, na lewą stronę tej przeszkody. Nasza ekipa zdecydowała się skakać na prawą stronę sadzawki.

Z reszty przeszkód — ogromny i szeroki kanał ściekowy w wykopie — wydawał się najtrudniejszą przeszkodą „crossu”.

Cały pas przebiegu długości 8 km i szerokości chyba z 50 m był ogrodzony po obu stronach płotem, żeby publiczność nie mogła wejść na tor w czasie trwania zawodów. Jechało się jakby korytarzem, a z obu stron, wzdłuż całej trasy przebiegu stała za płotem publiczność, która wyrażała za pomocą oklasków swoją aprobatę i zachwyty przy udanych skokach jeźdźca przez przeszkodę.

Przebiegi w drugim dniu zawodów składały się z pięciu odcinków, wynoszących w sumie 36 km, które należało przebyć w 2 godz. 1 min. i 26 sek. Za przekroczenie tego czasu otrzymywało się punkty karne.

Najtrudniejszym z odcinków był właśnie „cross”, na trasie którego ustawiono 35 przeszkód. Odcinek ten należało przebyć w 17 min i 46 sek, a jeździec siedzący na dobrze galopującym i skaczącym koniu, jadąc szybciej, niż przewidywała norma czasu, mógł nadrobić na tym odcinku maksimum 72 punkty bonifikacyjne. Odcinek ten był dla jeźdźcy i konia tym trudniejszy, że kończył cały przebieg i koń miał już za sobą 26 km. Jednak tutaj właśnie koń dobry mógł wykazać swoje zalety.

Właśnie w „crossie” mój Arlekin zdał egzamin wytrzymałości i siły. Rozpoczynając przebieg nie odczuwałem zupełnie, że Arlekin jest zmęczony, rwał fantastycznie do przodu i zdawało się, że jest zupełnie świeży. Pierwsze trzy przeszkody mój koń skakał z tak dużą werwą i w tak dużym tempie szedł naprzód, że dochodząc w galopie do 4 przeszkody — właśnie do opisanej powyżej sadzawki — musiałem go mocno trzymać, by nie skoczył za daleko do wody. W czasie dojeżdżania ścieżką do sadzawki kierowałem się na prawą stronę przeszkody i kiedy Arlekin już był zdecydowany na skok usłyszałem dramatyczne i głośnie wołanie po polsku — „w lewo ... w lewo” Był to głos jakiegoś Polaka spośród publiczności. Nie było jednak czasu do zawrócenia w lewo, a zatrzymania konia przed przeszkodą byłoby uznane za błąd podobnie jak zrobienie wolty i skoczenia w lewo. Wszystko to jednak byłoby możliwe do wykonania i opłacalne, gdybym usłyszał ten głos przynajmniej 10 metrów przed przeszkodą, ale już w czasie złożenia się konia do skoku nic nie mogłem zrobić. Oddałem wodze koniowi, skoczyliśmy przez barierę do sadzawki i za chwilę leżeliśmy w brudnej wodzie, zanurzając się zupełnie.

Kiedy wynurkowałem z wody — grzęznąc nogami w głębokim mule, sięgającym mi prawie do kolan — z trudem wyostałem się na brzeg.

Tutaj ponownie muszę zrobić małą dygresję, żeby jeszcze wyjaśnić co było powodem mego upadku

z koniem na tej przeszkodzie. Sadzawka miała pochyłe dno od lewej do prawej strony. Z lewej strony drzewa miała ok. 60 cm głębokości, z prawej zaś strony 120 cm (przeszło pół metra więcej). Podłoże sadzawki z lewej strony drzewa było twarde i bez mułu, a z prawej warstwa mułu dochodziła do 50 cm. Brudna woda, zatrzymana na tamie z prawej strony sadzawki, wszystko równo pokrywała i nie było widać dna. Koń skacząc z prawej strony wpadał w głęboki muł i „gubił nogi” — to właśnie było przyczyną wszystkich upadków w sadzawce.

Pułapka w sadzawce była zrobiona świadomie i mogłaby być „fair play”, najzupełniej dopuszczalna, a nawet wskazana, jeździec jadąc w „crossie” powinien sam sobie dobrać drogę do przeszkody i skakać przez nią w tym miejscu, gdzie się wydaje dostępniejsza — gdyby żaden ze startujących nie był wcześniej poinformowany o budowie przeszkody. Tak, zdaje mi się, nie było, gdyż wszyscy jeźdźcy niemieccy skakali na lewą stronę.

Pierwszym jeźdźcem polskim startującym na początku przebiegu był rtm. Kulesza, który naturalnie pojechał, jak większość na prawo od drzewa i leżał.

Ja jechałem jako drugi z Polaków i kiedy rotmistrz Kulesza wylądował w sadzawce, już byłem na trasie przebiegu.



Upadek rtm. Roycewicza na trasie crossu w Berlinie.



Rtm. Zdzisław Kawecki na Bambino.

Publiczność stojąca przy przeszkodzie widziała, że każdy jeździec, który skakał na prawo od drzewa leżał w sadzawce. Natomiast jeźdźcy, którzy skakali w lewo od drzewa przeważnie nie wywracali się. Dlatego to usłyszałem głośne wołanie o skok przez lewą stronę przeszkody. Wielu jeźdźców (przeszło 50%) skakało na prawą stronę przeszkody i oni leżeli. Dopiero rtm. Kawecki, trzeci z nas, pojechał na lewo i szczęśliwie tę przeszkodę przebrnął. Do opisu mego kozła do sadzawki dodać muszę, że sędzia niemiecki przy sadzawce policzył mi 80 pkt karnych za upadek samego jeźdźca, a nie 40 pkt za upadek jeźdźca z koniem, co uważane było za mniejszy błąd. Fotografia, którą po zawodach odnalazłem u niemieckich fotoreporterów, wyraźnie pokazywała, że Arlekin wywraca się razem ze mną do wody. Niesłusznie więc otrzymałem 40 pkt karnych więcej; oto pierwszy dowód niedokładnego sędziowania.

Muszę tutaj jeszcze raz pochwalić mojego Arlekina, gdyż ten koziołek do wody był jedynym błędem podczas całego, liczącego 36 km przebiegu.

W pośpiechu wydostałem się z błotnistej sadzawki, złapałem mego konia, który stojąc już na brzegu potrząsał opuszczoną głową, ponieważ podczas „nurkowania” nalała mu się do uszu woda. Było to dla

mnie zbawienne, bo koń stał spokojnie i łatwo mogłem go złapać, dosiąść i kontynuować przebieg. Inni jeźdźcy tracili wiele czasu na schwytanie wierzchowców, a byli i tacy, którzy nie złapawszy koni (pomoc była zabroniona) nie mogli kontynuować „crossu”.

Dojeżdżając do drugiej z najtrudniejszych przeszkód — ogromnego ściekowego rowu, leżącego w głębokim wykopie — zauważyłem kilku jeźdźców brodzących na koniach wzdłuż rowu i nie mogących wydostać się na stromy brzeg.

Arlekin wprost przefrunął przez wykop i rów wśród oklasków publiczności. Po przekroczeniu dziesiątej przeszkody zauważyłem niezrozumiałe dla mnie znaki dawane przez niemieckich żołnierzy, którzy stali przy przeszkodach. Myślałem początkowo, że coś się stało z moim koniem lub ryszunkiem, więc galopując sprawdziłem, czy nie rozluźnił mi się popręg od siodła lub nie skaleczył się koń. Wszystko jednak było w porządku, koń szedł wspaniale naprzód, ale nawoływania do zatrzymania się nie ustawały i przy każdej nowej przeszkodzie słyszałem okrzyki „halt”. Choć dziwiło mnie to i złościło, kontynuowałem bieg by nadrobić czas stracony przy sadzawce.

Dojeżdżając do dwudziestej przeszkody zauważyłem, że kilku żołnierzy niemieckich stanęło na niej trzymając się za ręce. Teraz już nie było wątpliwości i należało się zatrzymać.

Przez chwilę błysnęła mi nawet złośliwa myśl, żeby najechać na tak udekorowaną przeszkodę. Mógłbym wykonać niezły karambol, bo byłem pewny, że mój Arlekin skoczy bez wahania przez ludzi. Rozsądek jednak wziął górę i zrezygnowałem. Zatrzymałem konia i zniecierpliwionym głosem zapytałem sędziego o powód mego zatrzymania. Odpowiedział, że zostałem wyeliminowany z przebiegu, gdyż przy dziesiątej przeszkodzie zrobiłem błąd, oznaczający dyskwalifikację.

Wiadomość ta uderzyła we mnie, jak piorun z jasnego nieba. Znaczyło to, że nastąpił koniec udziału w zawodach nie tylko dla mnie, ale i dla całej polskiej ekipy. Uprzytomniłem sobie, jaka odpowiedzialność spadła na moje barki.

Wiedziałem jednak dokładnie, że nie popełniłem błędu przy tej łatwej przecież przeszkodzie. Zrozumiałem, że nastąpiło jakieś nieporozumienie. Lecz gdzie szukać wyjścia z tej sytuacji, z kim rozmawiać w tej sprawie. Byłem sam wśród mrowia obcych ludzi, otaczających miejsce, gdzie mnie zatrzymano. Wiedziałem, że rozmowy z nimi nic nie pomogą i że żadnego wyjaśnienia od nich nie otrzymam. Nie wolno było namyślać się długo. Czas upływał. Zawróciłem mego, bądź co bądź, już strudzonego Arlekina i pogalopowałem do dziesiątej przeszkody.

Tam, po sprawdzeniu listy przebiegu okazało się, że żadnego błędu nie popełniłem, lecz pomylił się sam sędzia, który bardzo mnie za to przeproszał. W pierwszym momencie opanowała mnie wściekłość na sędziego, ale wyjaśnienie sytuacji sprawiło mi wielką ulgę. Poklepałem swego biednego i dzielnego Arlekina i pogalopowałem do dwudziestej przeszkody, żeby kontynuować dalej przebieg.

W oficjalnym wyjaśnieniu podano, że sędziemu przy dziesiątej przeszkodzie zdawało się, iż ja pojechałem nie tą drogą i niezwłocznie podał telefonicznie, aby mnie wycofano.

Nie wiem, czy takie wyjaśnienie można przyjąć za zupełnie wiarygodne. Jak można postawić przy przeszkodzie takiego sędziego, który nie zna prawideł zawodów, i robi tak niepowetowaną krzywdę zawodnikowi.

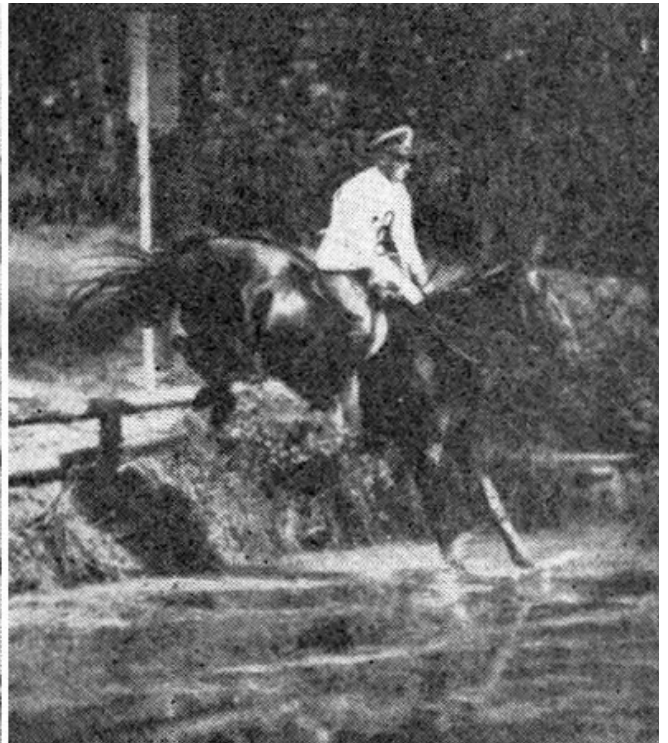
Galopując tam i z powrotem nadrobiłem przeszło cztery kilometry drogi i straciłem dużo czasu, a co gorsze zmęczyłem konia.

Resztę „crossu” po tych nieszczęśliwych perypetiach przejechałem bez błędu i natychmiast zgłosiłem szefowi polskiej ekipy płk. Komorowskiemu tę „rzekomą” pomyłkę niemieckiego sędziego, prosząc

o złożenie protestu w jury zawodów. Protest został złożony i uznany. Po długich naradach jury zawodów przyjęło, że ukończyłem „cross” w przepisowym czasie, lecz nie zaliczyło mi przewidzianych przepisami punktów dodatkich, które swobodnie mogłem przecież zdobyć. W tym wypadku — moim zdaniem — należało dać zawodnikowi pełną satysfakcję, zaliczając na jego korzyść wszystkie nadrobki na trasie „crossu”.



Rtm. Seweryn Kulesza na Tośce.



Zwycięzca w konkurencji WKKW na Olimpiadzie w Berlinie — reprezentant Niemiec Stubbendorff na Nurmi.

Pomimo tych przykrych wydarzeń, nastrój w naszej ekipie był bardzo dobry, gdyż wszyscy polscy jeźdźcy ukończyli przebieg i po pobieżnym obliczeniu punktów — zdobytych w dwóch pierwszych dniach zawodów — polska ekipa uplasowała się na trzecim miejscu. Pierwsze miejsce ekipa niemiecka, drugie — ekipa bułgarska, czwarte — angielska.

Pozostał jeszcze trzeci dzień zawodów — konkurs skoków, który mógł spowodować duże zmiany w klasyfikacji.

Po przebiegach trzeba było zająć się końmi, a ja szczególnie moim strudzonym Arlekinem, który miał tyle kilometrów w nogach i po takim wysiłku mógł być mocno zmęczony. Zrobiłem mu wszystkie niezbędne zabiegi. Został cały umyty ciepłą wodą z octem, wymasowany i wyfluidowany. Nie robił jednak wrażenia przemęczonego i z apetytem zjadał przygotowany mu lekkostrawny mesz.

Trzeba było też zaopiekować się rtm. Kaweckim (ukończył „cross” ze złamanym żebrem), który koniecznie musiał dalej brać udział w zawodach, aby nie zdekompletować ekipy polskiej.

Również jeden z zawodników niemieckich miał złamany obojczyk i nie było wiadomo, czy będzie mógł dalej startować.

Na następny dzień konie naszej ekipy czuły się bardzo dobrze. Arlekin był wesoły i świeży. Podziwiałem jego niespożytą wytrzymałość. Rtm. Kaweckim z obandażowanymi żebrami wziął udział w konkursie. Zawodnik niemiecki rtm. von Wangenheim z ręką na temblaku i z zabandażowanym

obojczykiem stanął również do zawodów.

Zaraz po ich rozpoczęciu jeździec z ekipy bułgarskiej pomylił parcours i ekipa ta została wyeliminowana z zawodów. W związku z tym nasza ekipa automatycznie zajęła drugie miejsce. Obecnie walczyliśmy o pierwsze miejsce tylko z Niemcami.

Mój start do konkursu następował zaraz po starcie niemieckiego zawodnika rtm. von Wangenheima. Oczekując w bramie olbrzymiego stadionu olimpijskiego na rozpoczęcie mojego przejazdu przyglądałem się z podziwem jeździe tego zawodnika, który ze złamanym obojczykiem, prowadząc dość ostrego konia w jednym ręką usiłował utrzymać go na mocno krętym parcours'ie.

Prowadząc konia na jedną z przeszkód (tzw. „zagroda”) — do której należało wskoczyć przez bramkę, zatrzymać konia przed drugą bramką naprzeciwko, zawrócić go w lewo i wyskoczyć przez płot okalający tę „zagrodę” — jeździec niemiecki wstrzymując gwałtownie konia pod bramką, tak go mocno ściągnął munsztukiem, że koń jego stanął dęba i wywrócił się na wznak przygniatając jeźdźca. Za niezatrzymanie konia przed drugą bramką i przeskoczenie jej jeździec podległ dyskwalifikacji, a wtedy polska ekipa przechodziła automatycznie na pierwsze miejsce.

I właśnie tutaj można było podziwiać hart ducha rtm. von Wangenheim, jego wolę walki o zdobycie złotego medalu dla swej ekipy.

Po wywróceniu się niemieckiego jeźdźca nastąpiła wielka konsternacja, gdyż jeździec i koń przez kilka chwil leżeli bez ruchu, a stadion olimpijski, napełniony 120 tys. przeważnie niemieckiej publiczności wprost zamarł w oczekiwaniu czegoś najgorszego. Ostatecznie koń i jeździec wstali by ukończyć parcours wśród huraganowych oklasków. Również rtm. Kawecki, który mając złamane żebro, walczył do końca, cierpiąc okropnie przy prowadzeniu konia na parcoursie. Ta szlachetna rywalizacja w pięknych zawodach olimpijskich może wzbudzić szacunek i podziw dla przeciwników, walczących godnie o lepsze miejsce dla swojej ekipy. Natomiast „rzekome” omyłki sędziów niemieckich zrobiły bardzo ujemne wrażenie.

Polscy jeźdźcy ukończyli konkurs z dobrym wynikiem i po ostatecznych obliczeniach złoty medal otrzymała ekipa niemiecka, srebrny medal ekipa polska, brązowy medal ekipa angielska.

Po powrocie do kraju otrzymałem od Ministra Spraw Wojskowych osobistą pochwałę za odpowiednie zachowanie się podczas zawodów w Berlinie i przyczynienie się do zdobycia srebrnego medalu olimpijskiego oraz zostałem odznaczony srebrnym Krzyżem Zasługi. Krzyż ten wręczył mi przed frontem mego 25 pułku ułanów — po odczytaniu pochwały od Ministra — płk Witold Morawski, niezapomniany mój dowódca i przyjaciel, zamordowany przez hitlerowców w 1944 r. w oflagu.

Nie przypuszczałem wówczas, że po tych moich zmaganiach na Olimpiadzie w zawodach „military”, dojdzie w kilka lat później do innych zmagania, w których będę brał udział w latach 1939—1944 i zostanę kilkakrotnie ranny, a mój dzielny Arlekin zginie od bomby niemieckiej w 1939 r.